TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 7. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 31 października / 12 listopada 1859.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Belizaryusz Oskara Sosnowskiego (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa. — Piotr Steinkeller (z drzeworytem). — Żarki (z drzeworytem). — Kościół św. Bernarda w Wrocławiu (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Nowy Kastor i Polluks, albo historya o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku (ciąg dalszy). — Kronika zagraniczna. — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia. — Historya jedynaczka w 32 obrazkach (z siedmią drzeworytami) ciąg dalszy. Szachy i rebus.

BELIZARYUSZ

Oskara Sosnowskiego.

Kto obiegał pracownie wielu tegoczesnych artystów i zdołał napatrzéć się do syta tych utworów, usprawiedliwiających poniekąd arcywymowną, lubo wandalską, klątwę, rzuconą niezbyt dawno na krajową sztukę przez krytyka bawiącego za granicą; kto oglądał te malowidła, rzadko umiejące zachować środek między bizantyjską pierwotnością Cimabuego, a manieryzmem kawalera d'Arpino i Boucher'a, te rzeźby ślubowane wcale innym muzom jak greckie, dalekie od belwederskiego Apollina, a zbliżone raczéj do norymberskich lalek i do piernikowych figur; kto się, powtarzamy, temu wszystkiemu przyjrzał ze smutkiem i słyszał cudzoziemców szepcących między sobą, żeśmy stworzeni li tylko do miecza, a nie do dłóta i penzla, ten znowu po rozczarowaniu oczarowanym zostanie, patrząc na gruppę pana Oskara Sosnowskiego, na *Belizaryusza z córką*. Toć to dopiero dojrzały utwór prawdziwego mistrza!

Ociemniały wódz Justynianowych zastępów, pogromca Persów, Hunnów i Gotów, oswobodziciel wschodniego i zachodniego cesarstwa, usiadł na podróżnym kamieniu, on, nawykły do siadania na tryumfalnym rydwanie, by wyżebrać jałmużnę u przechodzących gościńcem. Ale na gołym głazie, jak na złotogłowie i słoniowéj kości, zachowuje on jednaką pańskość, nieugiętość i dumę; podmuch niedoli i pogardliwy tuman ciągnący za wozem wielmożnych, nie zdołały zawiać na piękném i szlachetném jego czole królewskiego namaszczenia geniuszu i zwycięztwa. Dłoń jego, opadająca wzdłuż dziadowskiego kostura, wytyka smętném skinieniem italską ziemię, wieczną rodzicę piękna i wygnania; ale poznajesz, że ślepy orzeł na tę ziemię spadły, zwykł był patrzéć w słońce i przewodniczyć złotym ptakom legionów, rozskrzydlonym od Wschodu do Zachodu; poznajesz, że ta ślepota spłynęła jak zasłona ostatniego aktu wielkiego życia, między poziomą nędzą, a nazbyt przerastającą ją przeszłością. Ocala ona przynajmniéj wstydliwość bohaterstwa; potężny ten duch obwija się w ciemność, jak umierający Cezar w purpurę, gdy wyrzeka te rozdzierające słowa, które mu kroniki przypisują: „Przechodniu, Belizaryusz błaga cię o szeląg!“ Ale ramię, co rozdawało korony, wzdryga się pójść za słowem i sięgnąć po grosz wdowi, waha się użyć za żebraczą tackę hełmu ukutego na miarę laurowego wieńca.... Dopiéro wdzięczna pomocniczka czyni łagodny gwałt starcowi, i przyłbicę, którą dlań na zawsze zastąpiły spuszczone przed miłym dniem powieki, zniża po anielsku pod butną litość przechodniów. Jestto Eudoksya, nieodstępna towarzyszka tułacza, piękność starożytnéj Grecyi, która się stała chrześciańskiém miłosierdziem i białym marmurem, ochrzczona Gracya czy kapłanka, któréj wiara wytrąciła libacyjną czarę z dłoni, przeznaczonéj już jedynie do łez osuszania, ale któréj chrzestna draperya pofałdowała się od attyckiego wiatru i pozbyć nie może w kościelnych przysionkach wonności ambrozyi, jaką w Olimpie nasiąkła.

BELIZARYUSZ O. SOSNOWSKIEGO.

Gruppa cała układem szlachetnym i poważnym, mistrzowskiém pofałdowaniem draperyj i poprawnością rysunku, przypomina najpiękniejsze rzeźby nowoczesnéj szkoły włoskiéj, kształcącéj się na wzorach klassycznéj starożytności, i czyni zaszczyt prawdziwy dojrzałemu talentowi swego twórcy.

Kronika tygodniowa.

Ubiegły tydzień śmiało nazwaćby można Szyllerowskim. Suto obchodziła Warszawa stuletnią rocznicę urodzin wielkiego europejskiego poety, wszystkie prawie sztuki piękne, jako kochające się siostry, były w ruchu. Sale redutowe przepełnione były widzami, słyszeliśmy tam muzykę dobrą i dobrze wykonaną, za co [illegible]n z góry już zaręczała dyrekcya, jaką zasłużony w tego rodzaju uroczystościach publicznych p. Noch objął nad chórami amatorskiemi. Pan Aleksander Lesser przysłużył się pięknym transparentem, na którym dwie muzy wieńczą swojego ulubieńca; doktór Fecht skreślił obszerny życiorys Szyllera w języku niemieckim, czytany przez p. Petzeta, a J. I Kraszewski przeczytał rozprawę w języku polskim, o wpływie Szyllera na naszę literaturę. Piękny ten i poetycznie skreślony pogląd przedstawił nam Szyllera we właściwém świetle, t. j. jako poetę należącego do wielkiéj rodziny narodów, i stał się zarazem wytłumaczeniem zajęcia z jakiém ziomkowie nasi spieszyli wziąć udział w téj uroczystości. Ale najpożądańszą może ponętą dla tych którzy pamiętają dawne, świetne sceny naszéj czasy, było odczytanie przez p. Leontynę Halpert pochwały Szyllera wierszem, napisanéj przez p. B. H., znanego tutaj z kilku prac literackich, oraz pięknéj ballady p. t. „Rycerz Toggenburg“ i monologu z „Dziewicy Orleańskiéj“, naturalnie w przekładach polskich. Może wypowiedzenie tego ostatniego wiersza w tém licznem zgromadzeniu, przy téj uroczystéj ciszy, przywiodło na pamięć znakomitéj artystce

inne chwile, żywo zapewne jaśniejące w jéj wspomnieniu, kiedy królując na deskach sceny naszéj, wywoływała grzmoty nieustających oklasków i fanatycznego prawie uwielbienia. Takie chwile starczą za całą przeszłość; szczęśliwi ci, którym Bóg za życia dozwolił zbierać najpiękniejsze owoce talentu i pracy.

I teatr nie zaległ pola. Mieliśmy na wielkiéj scenie przedstawienie na cześć Szyllera, złożone z jednego aktu tragedyi jego „Dziewica Orleańska“, urozmaicone obrazami z żywych osób, wziętemi z „Dzwonu“, tego pięknego poematu, na wszystkie prawie języki europejskie przełożonego. Tak więc sale redutowe dały nam dzwon w muzyce, teatr zaś toż samo dzieło przedstawił w obrazach. Odegranie nawet wyjątków z utworów dramatycznych takiego poety jak Szyller, jest nauką dla artystów, nauką dla publiczności, i bogdajbyśmy się częściéj mogli spotykać z tego rodzaju utworami.

Tymczasem, kiedy Warszawa z tak wielką okazałością obchodzi stuletnią rocznicę urodzin wielkiego poety, łącząc się do chóru uwielbienia, brzmiącego dlań w téj saméj chwili we wszystkich prawie znakomitszych miastach europejskich, jedni Węgrzy w Peszcie postanowili obchodzić u siebie rocznicę urodzin swego własnego poety, która mniéj więcéj w tym samym czasie przypada. Szczerze mówiąc, nie znamy dzieł tego potomka śpiewaków Atylli, pierwszy raz słyszeliśmy nawet jego nazwisko, ale musi on miéć zapewne swoje wielkie zasługi, kiedy ziomkowie postanowili taką czcią pamięć jego otoczyć. Nam się ten samoistny węgierski rozum dość jakoś podoba. W każdym razie te hołdy oddawane poetom po śmierci, dowodzą że myśl, że duch Boży, dosięgły już w całéj pełni prawa obywatelstwa w ludzkości. Te kwiaty składane na grobie wymowniejszemi są stokroć od wieńczeń na olimpijskich igrzyskach. Już nie nazwiskiem tylko, nie wpływem jaki w swym czasie wywarł. żyje poeta, ale czcią wszystkich ludów, czujących że ten posłannik Boży ognistém uczuciem swojém całą ludzkość umiłować umié.

Jakimże tu sposobem teraz przejść do zwykłych brukowych wiadomości, do téj prozy codziennéj, która winna być powszednim chlebem miejskiego kronikarza? Jakże wam po wspomnieniu tych chwil uroczystych, uświęconych wiekopomném nazwiskiem, mówić o cyrku pana Carré'go, gdzie także wielbiciele poezyi, ale innego rodzaju, rzucają wieńce pod kopyta potomków Bucyfała, albo o wiejskiéj kawie, która wystąpiła w tych czasach ze współzawodnictwem niebezpieczném dla salonów i ogródków muzycznych? Po nazwisku Szyllera, chociaż to niemiecki poeta, niemiło nam brzmią w uszach nazwy jego współrodaków, dmących w trąby i rzępolących w skrzypce, pośród dymu cygarowego i kawiarczanego zaduchu. Arcyzabawném także znajdujemy ogłoszenie jakiegoś współrodaka Szyllera, trudniącego się wyrobem słodyczy, który korzystając ze współczucia jakie pamięć wielkiego wieszcza budzi u nas, daje znać komu o tém wiedzieć należy, że w jego cukierni dostanie *torcików szyllerowskich na ciepło*, wybornie przyrządzonych i wielce dopomagających do strawności, po 6 groszy sztuka. O poeto! czyżeś mógł przeczuwać kiedy, że twoje budzące ogólne poszanowanie nazwisko, nada miano ciastkom, które do strawności dopomagać będą. Ale z tych właśnie różnorodnych żywiołów składa się życie miejskie: też same flizy oświeca słońce i woda z rynien kąpie błotnistą kałużą swoją. Kiedy, podług przypowieści wschodniéj, Bóg, stworzywszy człowieka, zaczął się przyglądać pięknemu swojemu dziełu, radując się niém, szatan, czyhając gdzieś w kącie, zaśmiał się śmiechem szyderskim i rzekł sam do siebie:

— Niedługo to tego będzie, zbuduję ja miasto i zobaczymy co się tam zrobi z tym pięknym tworem Bożym.

I Babilon, który wedle téjże saméj tradycyi istniał jeszcze przed potopem, tylko w podwójnéj okazałości swojéj i w podwójném zepsuciu, był dziełem rąk szatana.

Dzięki Bogu, Warszawie daleko jeszcze do Babilonu, chociaż kończący się hotel europejski wygląda trochę na jednę z tamtoczesnych budowli. Nawet pomięszanie języków dopomaga temu podobieństwu, bo o ile nam wiadomo, w tym hotelu znajdują się garsony z różnych stron świata i różnemi europejskiemi przemawiający językami, a to do tego stopnia, że jednemu tam szlachcicowi, który chciał butelki piwa i nie mogąc się dogadać z garsonem, wyrysował jak umiał ten przedmiot na kawałku papieru, przyniesiono dzwonek. To jednak wcale nie przeszkadza, że stawiamy ten hotel, pod względem wewnętrznego urządzenia i rozlicznych wygód, za wzór wszystkim warszawskim zakładom tego rodzaju, nie zalecającym się wcale dotychczas porządkiem i dogodnością dla podróżnych.

Skwapliwe zgromadzanie się licznych słuchaczów na rozpoczęcie w akademii medycznéj prelekcyj doktora Hoyera o anatomii mikroskopijnéj i doktora Szokalskiego o właściwéj fizyologii, dowodzi zajęcia jakie w publiczności naszéj wzbudza postęp téj tak pożądanéj instytucyi. Doktór Kryszka zamienił również dawniejszą swoję katedrę fizyologii, na katedrę terapii ogólnéj i materyi medycznéj. Ramy naszego przeglądu nie dozwalają nam rozszerzać się nad wymownym wykładem szanownych professorów, a pochwały które moglibyśmy im oddać, byłyby tylko echem ogólnego uznania, jakie potrafili sobie zjednać pomiędzy oświeceńszą publicznością.

Doszło do naszéj wiadomości w tych czasach kilka nowin muzykalnych, któremi pospieszamy się podzielić z czytelnikami „Tygodnika“. Podobno pan Ferdynand Dulcken kończy swoję jedno-aktową operetkę p. t. „Partya szachów“, do słów Wł. Wolskiego pisaną, na głosy miejscowych amatorów. Ci którzy mieli sposobność słyszéć niektóre ustępy z téj nowéj pracy, chwalą bardzo aryą tenorową. Również niektórzy amatorowie tutaj pracują nad wyuczeniem się opery Clapissona w dwóch aktach, pod tytułem „Sylf“, ze słowami francuzkiemi. Prześliczna to muzyka i pożądaném byłoby, abyśmy ją na scenie słyszéć mogli, bo doświadczenie uczy, że w tego rodzaju utworach publiczność u nas wielce gustuje. Pan Gustaw Roguski, przed wyjazdem swoim za granicę dla dalszego kształcenia się, napisał modlitwę na głos tenorowy, która będzie wkrótce wykonaną u księży pijarów. A i towarzystwo dobroczynności zamyśla podobno urządzić widowisko muzyczne; gdybyć tylko amatorowie chcieli szczerze wziąć się do wprowadzenia w czyn tego zamiaru, byłoby to bardzo pożądaném. Dziwna rzecz jednak, *harmonia*, która stanowić winna najbardziéj zasadniczą część muzyki, niezawsze zwykła panować pomiędzy poświęcającymi się téj pięknéj sztuce. Owszem, często bardzo brak zgodnych *akordów* psuje najlepiéj ułożone przedsięwzięcia, przygotowania idą powolnie, niby poważne *adagio*, aż przychodzi burzliwe *allegro* i zmienia się w *furioso*, które się kończy na *fudze* ogólnéj, tak iż trzeba *da capo* rzecz rozpoczynać. Ot i niechcący wdałem się w uczoną muzyczną rozprawę; specyalny sprawozdawca „Tygodnika“ gotów na mnie za to kamieniem cisnąć. Ale niestety, cóż czynić, kiedy ta moja kronika żyje tylko ciągłém wdzieraniem się w cudze attrybucye? Jest ona z rodzaju tych zagadkowych postaci, których nie brak po wielkich miastach, co niebardzo się oglądają na prawo własności, byle tylko módz pochwycić coś pożytecznego dla siebie. Na przykład, chociażby mi sprawozdawca literacki „Tygodnika“ miał miéć to za złe, doniosę jednak iż Zygmunt Kaczkowski, którego nazwisko już dawno nie pojawiło się na żadnéj z nowości literackich, pracuje teraz u siebie w odosobnieniu zupełném, że podobno ukończywszy dwutomową powieść pod tytułem *Rozbitki*, przesłał już ją do Wilna, gdzie ma być drukowaną, a obecnie zajęty jest studyami nad dramatem z Bolesławowskich czasów. We Lwowie także słychać o mającém się pojawić tamże piśmie peryodycznem literackiéj treści; wreszcie bawi w Warszawie od kilku dni jeden z przedstawicieli galicyjskiéj literatury, pan Zacharyasiewicz, znany powieściopisarz. A należy się od nas wspomnienie i Magazynowi mód, który od nowego roku ma wychodzić w nowéj i wytworniejszéj daleko niźli dotąd sukience, kroju P. Jana Kantego Gregorowicza. Zdolny to kostiumer, chociaż odznaczył się on dotąd szczególniéj w przysposabianiu wiejskich ubiorów: aż miło było spojrzéć na dziewuchy i chłopków przystrojonych przez niego. Ale nie zawadzi to, że mu się dotąd sukmany najlepiéj udawały; da on sobie i z kapotą radę, i frak, nie wątpimy, będzie umiał tak uchwycić, że się pewno nie powstydzi, chociaż, jak wiemy z prospektu, nie bardzo tam z paryzkich będzie czerpał wzorów. Ale odkładając żarty na bok i oddawszy całą słuszność rodzinnéj dążności zasłużonego literata, winniśmy dodać, że co się tyczy samychże żurnalów, będą one, o ile wiemy, z największą starannością przez specyalnych zagranicznych artystów odrabianemi, z zastosowaniem do potrzeb i wymagań tutejszéj płci pięknéj. Niechby Magazyn mód zajął choć w połowie miejsce sprowadzanych tu ciągle z zagranicy publikacyj tego rodzaju, a już śmiało twierdzić można, że starczyłoby to na jego utrzymanie. Redakcya Czytelni niedzielnéj ma zamiar także, jak słyszeliśmy, podnieść artystyczną stronę swojego pisma, przez dołączanie peryodyczne drzeworytów do popularnych i przystępnych dla niższéj klassy artykułów, jakie dotąd stanowiły główną treść Czytelni. Tak więc, jak widzimy, pojawienie się „Tygodnika Illustrowanego“ znakomicie wpłynęło na ożywienie téj ważnéj części literatury, dotąd drzémiącéj u nas. Może téż wkrótce będziemy mogli donieść czytelnikom o innych, ważniejszych jeszcze nowościach na tém polu, chociaż dotychczas musimy zachować milczenie, bo każdy zamiar dopiero wówczas należy z prawa do nas, kiedy ma już być stanowczo w działanie wprowadzony.

Już to jeżeli mamy mówić o zamiarach, to należałoby nam oddać sprawiedliwość redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“, która także *zamierza* nowe ulepszenia wprowadzić do swojego pisma. Chcielibyśmy tylko, jeżeli te zamiary mają kiedyś otrzymać ziszczenie, widzieć część krytyczną rozszerzającą się w tym jedynym prawie u nas organie literackim. Ileż to już dzieł przeszło bez żadnego prawie tam wspomnienia! Jedna albo dwie recenzye na miesiąc żadną miarą nie są wystarczającemi, a wzmianki bibliograficzne, umieszczone przy końcu Biblioteki, nie zastąpią poważniejszych lub gruntowniejszych rozbiorów, takich zwłaszcza, jakie zwykliśmy widzieć wychodzące z pod pióra pp. Bartoszewicza, Kaszewskiego i Krajewskiego, chociaż ten ostatni od pewnego czasu zaległ jakoś pole. Wiemy że skład literatów do „Biblioteki Warszawskiéj“ wchodzących, pomnożył się nowemi a pożądanemi bardzo żywiołami; chcielibyśmy więc widzieć w czynie oznakę tego zdwojenia sił.

Jak na dziś, dość tego literackiego żniwa, bo znów z drugiéj strony nowy kalendarz chromolitografowany p. Fajansa woła na nas wielkim głosem, żebyśmy choć małe dali o nim wspomnienie. A w tym roku pan Fajans wziął się dobrze do rzeczy, odtworzywszy w chromolitografii znany obraz p. Simmlera z „Maryi“ Malczewskiego, przedstawiający starego miecznika pod lipami, i Maryą przy nim. Udatna to bardzo robota, i zdaje nam się że w żadnym jeszcze roku p. Fajans nie doszedł do téj zgodności kolorów i czystości w odbiciu, jakie w obecnym kalendarzu dają się widzieć. Dobra to myśl, rozpowszechnianie tym popularnym sposobem znakomitszych prac zdolniejszych artystów naszych. Pan Pecq pospieszył także ze swoim kalendarzem i wydał ostatni zeszyt „Królów polskich“, pożytecznéj bardzo i cenionéj publikacyi.

Otóż wyładowałem już podobno cały mój worek z nowościami, które, niestety, starzeją się zbyt prędko, tak obecnie pisma peryodyczne wyrywają sobie jedno przed drugiém te drobne fakciki dzienne. „Tygodnik“ spieszy się jak może, ale nim przyjdzie ta upragniona sobota, to już mu dobrze tymczasem jeden lub drugi w drogę wejdzie. Cóż czynić? trzeba się pocieszyć głoszeniem wam wieści, które już specyalnie nas się tyczą, i w których przeto nie lękamy się ubieżenia przez drugich. Owóż donosimy wam, jeżeli was to interesować może, że na zadanie konikowe, zamieszczone przez nas w zaprzeszłym „Tygodniku“, otrzymaliśmy 138 rozwiązań z Warszawy, a 274 z prowincyi, co dowodzi że amatorstwo jazdy konnéj nie ustało u nas, kiedy tak znaczna liczba ludzi zapragnęła, chociaż po szachownicy, użyć téj *hajtacyi*. Wprawdzie pomiędzy tymi jeźdzcami znaczna część była amazonek, i trzeba przyznać na zaletę domyślności czytelników i czytelniczek naszych, że wszystkie prawie rozwiązania były dobre; ale dwóch wyraz szarady, która, jak wiadomo, znaczyła *Peloponez*, przemieniło na *Kartaginę*, co już jest trochę trudniejszém do wytłumaczenia, a jeden doniósł nam że to ma znaczyć *obłok*, (sic). Nie wiem na prawdę jak on tam z liczbą syllab i znaczeniem ich mógł się obrachować. Wprawdzie obłoki krążyły zapewne nad Peloponezem, ale układaczowi szarady szło, jak nam się zdaje, o ziemię, a nie o niebo téj greckiéj krainy, i chyba dowcipny odgadywacz użył umyślnie téj metafory, na wypowiedzenie że szarada była nie dość określona, mglista, a więc trudna do odgadnięcia. Podoba nam się ten delikatny sposób krytykowania, i myślimy go użyć w potrzebie.

Piotr Steinkeller.

Mało zapewne jest ludzi, o którychby czynach i życiu publiczném tak rozmaite, tak sprzeczne wydawano sądy, jak o działaniach Steinkellera. Wprawdzie głos powszechności, patrzącéj zwykle na skutki, wnioskującéj podług tego co widzi i czego się dotyka, oddawał mu zawsze sprawiedliwość, oceniając użyteczność licznych jego przedsiębierstw; lecz w pewnych sferach ludzi szukających w przemyśle i handlu osobistéj tylko korzyści, każdy jego pomysł przyjmowano z niedowierzaniem, nicowano, krzyczano na niepraktyczność i ślepe naśladownictwo wzorów zagranicznych, a namiętne te wrzaski, wywołane podszeptami zawiści, szérzone czynnie i usłużnie przez licznych owéj partyi popleczników, sięgały zwykle daleko po za koło właściwego współzawodnictwa. Dziś, kiedy namiętności przygasły, gdy pięć lat przeszło rozdziela nas od chwili zgonu Steinkellera, zdaje się że nadeszła już pora, by wyrzec o nim zdanie bezstronne, skreślić w pobieżnym zarysie bieg jego działań publicznych i oddać cześć pamięci zasłużonego krajowi obywatela.

Piotr Antoni Steinkeller urodził się dnia 15 lutego 1799 r. w Krakowie, gdzie ojciec jego był kupcem. Roku 1826, po śmierci ojca, objąwszy na siebie pozostały po nim handel, przeniósł go z Krakowa do Warszawy, i w tém ostatniém mieście przyjęty został do zgromadzenia kupieckiego. Bystry i przenikliwy w odgadywaniu istotnych potrzeb krajowych, niezmordowany w rozwijaniu i wykonywaniu swych pomysłów, młody przemysłowiec stał się tu wkrótce duszą wszelkich przedsięwzięć mających na celu dobro publiczne i nie opuścił już odtąd tego stanowiska, aż po zupełném wyczerpaniu swych sił materyalnych.

Bank polski, świéżo wówczas zaprowadzona instytucya, poznał się niezadługo na energii i zdolnościach Steinkellera, i podając chętnie rękę ku wspieraniu przemysłu krajowego, otworzył mu u siebie konto kredytowe. Pierwsze zaliczenia udzielane Steinkellerowi przez bank jeszcze w r. 1828, ograniczały się na skupowaniu złożonych przez niego weksli i otwiéraniu cząstkowych do oznaczonego terminu kredytów, także na weksle, z podpisem miejscowych domów handlowych. W latach następnych, aż do r. 1837, przybyły do tego rachunki z zaliczeń na hipotekę domu resursy kupieckiéj (który Steinkeller wybudował, zakupiwszy w tym celu zwaliska prawie pałacu niegdyś Mniszchów); na interes solny, prowadzony początkowo pod firmą Karola Scholtza, a następnie P. A. Steinkellera i spółki; na szérzenie zakładów przemysłowych i kupno rudy żelaznéj; na zakup zboża; na produkcyą cynku i budowę maszyn w Żarkach, na założenie cegielni w Pomiechówku, tudzież na przeistoczenie młyna parowego w Warszawie. Niektóre z tych przedsięwzięć bliżéj objaśnić nam wypada.

Sól, jeden z najważniejszych artykułów konsumcyi codziennéj, nieodzowna potrzeba życia klass najbogatszych i najuboższych, przed przybyciem Steinkellera do Warszawy w wysokiéj była cenie; skarb bowiem królestwa płacił ją rządowi austryackiemu po rs. 1 kop. 20 za centnar. Dla zaradzenia téj niedogodności, Steinkeller zobowiązał się sprowadzać sól z Anglii i dostarczył ją rzeczywiście taniéj o kop. 15 na centnarze. Wszedłszy następnie w układy z rządem o transport tego artykułu do różnych punktów królestwa, przybrał w tém za spólników Konstantego Wolickiego i Jakuba Bereksohna. Ci dwaj zajmowali się specyalnie budową statków transportowych i dopilnowaniem administracyi, Steinkeller ogólnym kierunkiem interesu. Gdy w r. 1832 skończyła się konwencya wiedeńska o dostawę soli, Steinkeller zawarł z rządem austryackim dwa nowe kontrakty o kupno tego przedmiotu, do r. 1842 trwać mające, i konkurrencyą swą tyle dokazał, że Austrya poprzestała na cenie 52 kop. za centnar. Łatwo pojąć jak wielkie ta operacya handlowo-przemysłowa daje mu prawo do wdzięczności ogółu, jeśli zważymy że rząd królestwa nabywa od Austryi rocznie przeszło 800,000 centnarów soli kamiennéj, a więc że na jednym tym artykule odniósł skarb rocznéj oszczędności przynajmniéj 500,000 rs. Przedsiębierstwo przewozu soli, wraz ze statkami na Wiśle i Narwi w liczbie ośmdziesięciu, w latach 1836 i 1837 przeszło pod administracyą, a później na własność Banku polskiego.

Rozwój produkcyi cynku i zamienienie onego w artykuł handlowy, podobnież kraj nasz zawdzięcza Steinkellerowi. Roku 1836 wziął w dzierżawę od rządu huty cynkowe w Dąbrowie i wystawił własnym kosztem walcownię w Londynie, która cynk przywożony z Polski przerabiać miała na blachę. Pomysł ten, w zasadzie arcy pożyteczny, przez niedbałą administracyą i złą wolę Anglików zarządem walcowni trudniących się, został w początku zwichnięty, a nawet powiedzieć można że spekulacya cynkiem polskim i blachą wyrabianą w Londynie przyczyniła się znakomicie do upadku Steinkellera. Zawsze jednak wpłynął on przeważnie na podniesienie produkcyi tego metalu, a podskoczenie jego z dawniejszéj ceny rs. 2 kop. 25, na rs. 13 kop. 90 za centnar, oraz obecny stan kwitnący walcowni pod Sławkowem, dowodzi że zwrócenie się Steinkellera ku téj gałęzi przemysłu, opartém było na trafném ocenieniu jednego z najobfitszych źródeł bogactwa krajowego.

Młyn parowy w Warszawie Steinkeller nabył na publicznéj licytacyi, gdy r. 1835 bank polski wystawił go na sprzedaż drogą wywłaszczenia, dla pokrycia należności swych i zaliczeń danych b. towarzystwu wyrobów zbożowych. Odtąd zaczyna się szereg ulepszeń i zupełnych niemal przeistoczeń tego zakładu, które znosząc monopol młynarzy i innych producentów, przyczyniły się tém samém do zniżenia ceny wielu artykułów codziennéj potrzeby. Steinkeller ustawił w młynie parowym dwie nowe maszyny, z których jedna o sile 80 koni; wybudował dwa wielkie spichrze, mogące pomieścić 130,000 korcy zboża; urządził olearnię; zaprowadził fabrykę powozów i kuryerek, fabrykę kafli i wyrobów fajansowych, maszynę do rznięcia fornirów, windę nad Wisłą do dźwigania ciężarów, kolej żelazną konną od niéj aż do młyna i t. p. Wszystkie te połączone zakłady, w territoryum młyna parowego mieszczące się, powstawały kolejno aż do roku 1853 z inicyatywy Steinkellera; z każdéj bowiem podróży za granicę przywoził on zasób bogaty pożytecznych wiadomości i usiłował zaraz przyswoić je krajowi.

Tyle i tak dobrze obmyślanych przedsięwzięć, po większéj części doskonale się procentujących, byłyby niezawodnie i krajowi przyniosły pożytek, i w krótkim czasie zbogaciły samego przedsiębiercę, gdyby Steinkeller równie dobrym był zarządzcą, jak spekulantem i organizatorem, gdyby miał kiedykolwiek na widoku osobiste swe zyski, a nadewszystko gdyby los, ślepy nierazopiekun najniedorzeczniejszych pomysłów, okazał się bardziéj dlań przychylnym. Ale szczęście statecznie było mu przeciwném. Wspomnieliśmy wyżéj o sparaliżowaniu działań walcowni cynku w Londynie, skutkiem niedbalstwa zarządzających; dodać teraz należy iż w tymże czasie upadek domów francuzkich Lodame et comp. i d'Alincourt, z któremi Steinkeller wszedł w spółkę w interesie kupna cynku, zachwiał silnie jego majątkiem, i tylko ciągłe zaliczenia banku utrzymać go jeszcze mogły w stanie wypłacalności.

W r. 1837 dług jego zaciągnięty w banku polskim wynosił: na młynie parowym rs. 195,000, na fabryce maszyn w Żarkach rs. 225,000, (1) na cegielni w Pomiechówku rs. 90,000, na dostawie soli rs. 450,000. Tym sposobem już wówczas interesa Steinkellera stały się niemal interesami banku, do którego w większéj części należał majątek w tych interesach zawarty. Steinkeller był tylko jego stróżem, i w nadziei podniesienia się z upadku, poświęcał dla niego czas swój, pracę i zdolności. Odtąd rzeczywiście nastało nowe położenie w stosunkach pomiędzy Steinkellerem a bankiem: dłużnik zamienił się niejako w agenta, któremu powierzony został kierunek interesów, a szybkie i skuteczne wspieranie tych interesów było nieodzownym warunkiem pomyślnego ich obrotu, jaki sam Steinkeller tylko nadać im był w możności.

W roku 1839, dla uniknienia wysokiéj taryfy tranzytu pruskiego, Steinkeller zaproponował JO. Księciu Namiestnikowi królestwa otworzenie bezpośredniéj kommunikacyi z Baltykiem, za pomocą kolei żelaznéj od Jurborga lub Kowna. Kolei téj wykonano tylko plany, a sama budowa, dla przeszkód nieprzewidzianych, nie przyszła do skutku. Dług Steinkellera w banku narósł z końcem tego roku do wysokości 1,702,000 rubli sr.

Wspierany ciągle przez bank znacznemi zasiłkami, Steinkeller przez coraz nowe przedsięwzięcia starał się powiększać swe dochody i pokrywać nietylko procenta od długów, lecz nadto saméj wierzytelności bankowéj odpowiednie dawać zabezpieczenie. Wszedłszy w stosunki z dyrekcyą poczt, sprowadził w roku 1840 z Anglii maszyny, modele i zdolnych robotników, i zaczął budować, własnym kosztem kuryerki, które już od 1 października t. r. na trakcie krakowskim kursowały. W parę lat poźniéj rozpowszechnił je także na traktach kowieńskim, brzesko-litewskim, kalisko-poznańskim i toruńskim. Ogół publiczności nie wierzył zrazu, by podobne przedsięwzięcie mogło się opłacić; a jednak doświadczenie nauczyło, że był to jeden z najlepszych pomysłów Steinkellera, bo przynosił przez lat kilka, to jest aż do otwarcia drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj, przeszło 16,000 rs. czystego dochodu.

Płytkość wody lewego brzegu Wisły, zwłaszcza w porze letniéj, stawała częstokroć na przeszkodzie, że statki z ładunkiem dla młyna parowego przeznaczonym do brzegu dobijać nie mogły i zmuszone były zatrzymywać się w górze, w znacznéj odległości od miejsca na wylądowanie przysposobionego. Dla usunięcia téj niedogodności, Steinkeller w r. 1841 udał się z prośbą do rządu, o zwrócenie koryta rzeki ku lewemu brzegowi, przez wybicie tamy na brzegu przeciwnym. Rząd królestwa przychylił się do prośby Steinkellera i zawarł z nim kontrakt o wybudowanie tamy na lewym brzegu Wisły przy ulicy Czerniakowskiéj i o przedłużenie drugiéj na prawym brzegu od strony Saskiéj kępy, przeznaczając na ten cel summę 18,000 rs. Roboty te Steinkeller wykonał ku zupełnemu zadowoleniu władzy, a nadto z inicyatywy jego uskutecznione zostało obwałowanie części brzegów Wisły, zabezpieczające zakłady młyna parowego i przyległą stronę miasta od wylewu rzeki.

Najtrwalszym jednak pomnikiem obywatelskiéj gorliwości Steinkellera, dziełem już dziś będącém jedną z najsilniejszych dźwigni przemysłu krajowego i obrotów handlowych, a w przyszłości większe jeszcze obiecującém korzyści, jest droga żelazna warszawsko-wiedeńska. Projekt téj drogi, wprowadzony w częściowe wykonanie przez Steinkellera i dom handlowy braci Łubieńskich, za współdziałaniem banku polskiego, liczne początkowo i bolesne dla twórcy swego wywoływał protestacye. Ludzie niepojmujący ile ta nowa arterya kommunikacyjna wpłynąć może na rozwój wewnętrznéj pomyślności kraju, krzyczeli na marnowanie pieniędzy, na niestosowność pomysłu, dobrego może w krajach bogatych i wysoce przemysłowych, lecz u nas bardziéj szkodliwego jak pożytecznego. Wołania te zacofanych w swych pojęciach konserwatystów, lub pojedynczych jednostek zagrożonych w osobistych swych interesach, széroki wówczas znalazły odgłos w massie publiczności: dziś doświadczenie i postęp wyobrażeń najlepiéj bezzasadności ich dowiodły.

Myśl poprowadzenia drogi żelaznéj z Warszawy do granicy austryackiéj powziął Steinkeller jeszcze w r. 1834, wkrótce po objęciu przez bank polski w administracyą zakładów górniczych królestwa. Miała to być początkowo kolej konna, z podkładami podłużnemi; później atoli od zamiaru tego odstąpiono i postanowiono budowę drogi podług systemu angielskiego, z podkładami poprzecznemi i lokomotywami. W tym celu pomiędzy bankiem polskim a domami handlowemi Steinkellera i braci Łubieńskich w Warszawie, zawarty został w r. 1839 kontrakt, obowiązujący założycieli drogi do używania na jéj budowę wyłącznie żelaza krajowego. Kapitał towarzystwa ustanowiony został na rsr. 3,150,000, podzielonych na 5000 akcyj po rsr. 630, od których rząd poręczał akcyonaryuszom 4 proc. aż do zupełnego ukończenia drogi. Towarzystwo miało być uważaném za zawiązane dopiéro po spieniężeniu połowy swych akcyj. Dla ułatwienia téj sprzedaży, Steinkeller udał się do Londynu, i tam za pośrednictwem domu handlowego Harmann udało mu się umieścić 1000 sztuk akcyj al pari. Podobnież zabiegi przedsięwziął Tomasz hr. Łubieński w Niemczech; ale brak gotowizny i wysoka stopa procentowa zniechęcały kapitalistów do wdania się w interes obiecujący przez lat kilka tylko 4 proc. zysku. Wkrótce także przekonano się, że summa rsr. 3,150,000 na wybudowanie drogi podług systemu angielskiego nie wystarczy, a rząd gwarancyi procentów od summy wyższéj nie przyjął na siebie. Wszystko to stawiało założycieli drogi żelaznéj w położeniu nader trudném; towarzystwo atoli uor-

(1). O działaniach fabryczno-przemysłowych i rolniczych Steinkellera w Żarkach pomówimy niżéj w osobnym artykule.

ganizowało się, zarządziło wygotowanie planów i kosztorysów i w końcu r. 1839 rozpoczęło roboty ziemne, pod kierunkiem naczelnego inżeniera, pana Wysockiego.

W r. 1840 Steinkeller wyjechał do Wiednia i zawarł tam w imieniu banku polskiego z domem handlowym Steiner et comp. kontrakt, obowiązujący dom ten do nabycia 2000 sztuk akcyj drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj, na które wydane zostały tak zwane interimscheiny. Wypadki wszakże polityczne, wstrząsające wtedy Europą skutkiem sprawy wschodniéj, i téj operacyi stanęły na zawadzie, a dom Steinera w połowie r. 1841 zawiesił swe wypłaty. Przyprowadzeni do ostateczności, założyciele drogi podali w r. 1842 na ręce dyrektora głównego skarbu przedstawienie, wykazujące niemożność dalszego prowadzenia robót, dla braku funduszów, upraszając zarazem, ażeby rząd zezwolić raczył na rozwiązanie towarzystwa i zwolnienie go z kontraktu zawartego z bankiem polskim. Rozwiązanie to nastąpiło w maju 1842 r. i cały interes przeszedł pod bezpośredni zarząd skarbu. Steinkeller jednak i w latach 1844 do 1847 dostarczał jeszcze rządowi siodełek, powozów i węgli kamiennych na użytek drogi żelaznéj. Założyciele pierwotni włożyli w nią przeszło dwa miliony rubli.

Wspomnieć jeszcze winniśmy, że staraniom Steinkellera zawdzięcza Warszawa pierwszą próbę bruku drewnianego na Nowym świecie, oraz wzorową fabrykę obić papiérowych pod firmą Sperlin et Rahn, dziś Rahn et Vetter; z jego bowiem namowy przedsiębiercy tego zakładu przenieśli się z Wiednia do Warszawy. Podobnież kosztem i pomysłem Steinkellera wypracowany został przed kilkunastą jeszcze laty projekt zaopatrzenia naszego miasta wodą wiślaną, tudzież oświetlenia ulic gazem, które w zabudowaniach fabryk żareckich istniało już w r. 1843.

Z tém wszystkiém stan interesów Steinkellera coraz bardziéj się pogorszał. Passywa jego z końcem roku 1848 narosły do 2,390,000 rsr., skutkiem czego w r. 1849 nastąpiła likwidacya i bank dobra żareckie objął w administracyą. Znękany niepowodzeniem, Steinkeller przeniósł się napowrót do rodzinnego swego miasta Krakowa i tam 11 lutego 1854 r. zakończył życie.

Steinkeller, jako człowiek przemysłowy i handlowy, jako finansista, miewał świetne pomysły i rozwijać je umiał z wytrwałością i nieugiętą konsekwencyą, w czém spostrzeżenia i wiadomości, czerpane w częstych wycieczkach za granicę, niemałą były mu pomocą. Oko jego rozpłomieniało się zapałem, twarz, zwykle zimna i poważna, dziwném jaśniała ożywieniem, gdy za powrotem opowiadał co widział i co przeszczepić zamierzał na ziemię ojczystą. Posiadając miliony i mogąc prowadzić życie miękkie, bezczynne, wyrzekł się dobrowolnie roskoszy używania bogactw, nie żałował trudów i zabiegów, ażeby wypłacić się krajowi z długu obywatelstwa, takiego jakiém on je pojmował, i szlachetnemu celowi temu poświęcił większą część swego mienia. Zarzucają mu niektórzy, że zbyt porywczy w wykonaniu, nie przeprowadziwszy jeszcze jednego pomysłu, przerzucał się ku innemu, i tym sposobem nieraz i siebie i drugich narażał na straty. Zarzut to może sprawiedliwy, nieuniknione następstwo wrodzonéj jego wrażliwości; lecz gdyby umiano zapędy jego powstrzymać, a projekta ocenić i oceniwszy, wykonanie ich ludziom wytrawnym powierzać, działalność jego byłaby niezawodnie najzbawienniejsze we wszystkich kierunkach przyniosła następstwa. Inny zarzut, że ufał zbytecznie ludziom, przynosi owszém zaszczyt sercu i charakterowi Steinkellera. Gorliwy sam rozkrzewiciel pożytecznych dla kraju przedsięwzięć, pełen poświęcenia gdzie szło o dobro ogólne, sądził innych podług siebie, spodziewał się znaleźć podobne przymioty w tych co go otaczali, a ztąd niejednokrotnie doznawać musiał zawodu.

Pod względem fizycznym Steinkeller słynął z olbrzymiego wzrostu, któremu domierzał bystry i wszechstronny jego rozum. Jako człowiek prywatny odznaczał się słodyczą i spokojną powagą w postępowaniu z podwładnymi. Każdego, choćby najniższego, wysłuchiwał cierpliwie, nie przerywając mu ani razu, i wysłuchawszy dopiéro, krótko lecz stanowczo objawiał swoje zdanie. Młodzieży polskiéj chętnie przychodził w pomoc, otwierając jéj w swych zakładach pole do kształcenia się w różnych zawodach przemysłowych; a lubo częstokroć techników i rzemieślników sprowadzał z zagranicy, czynił to z konieczności, dla braku sił miejscowych i wreszcie dla dania krajowcom niezbędnie potrzebnych wzorów.

Miał Steinkeller wielu zawistnych, wielu nawet zaciętych przeciwników, szczególniéj w gronie ludzi jednego z nim zawodu, którzy nigdy wybaczyć mu nie mogli, że wyłamawszy się z pod prawa samolubnéj ich rutyny, poszedł drogą poczciwéj obywatelskiéj wysługi, — ale miał i przyjaciół, umiejących ocenić zacne jego dążności, i słusznie do niego zastosować można słowa naszego wieszcza z Czarnolesia:

Tym, co służą ojczyznie, wątpić nie potrzeba,
Że co im zazdrość ujmie, Bóg nagradzać będzie,
A cnota kiedykolwiek miejsce swe osiędzie.

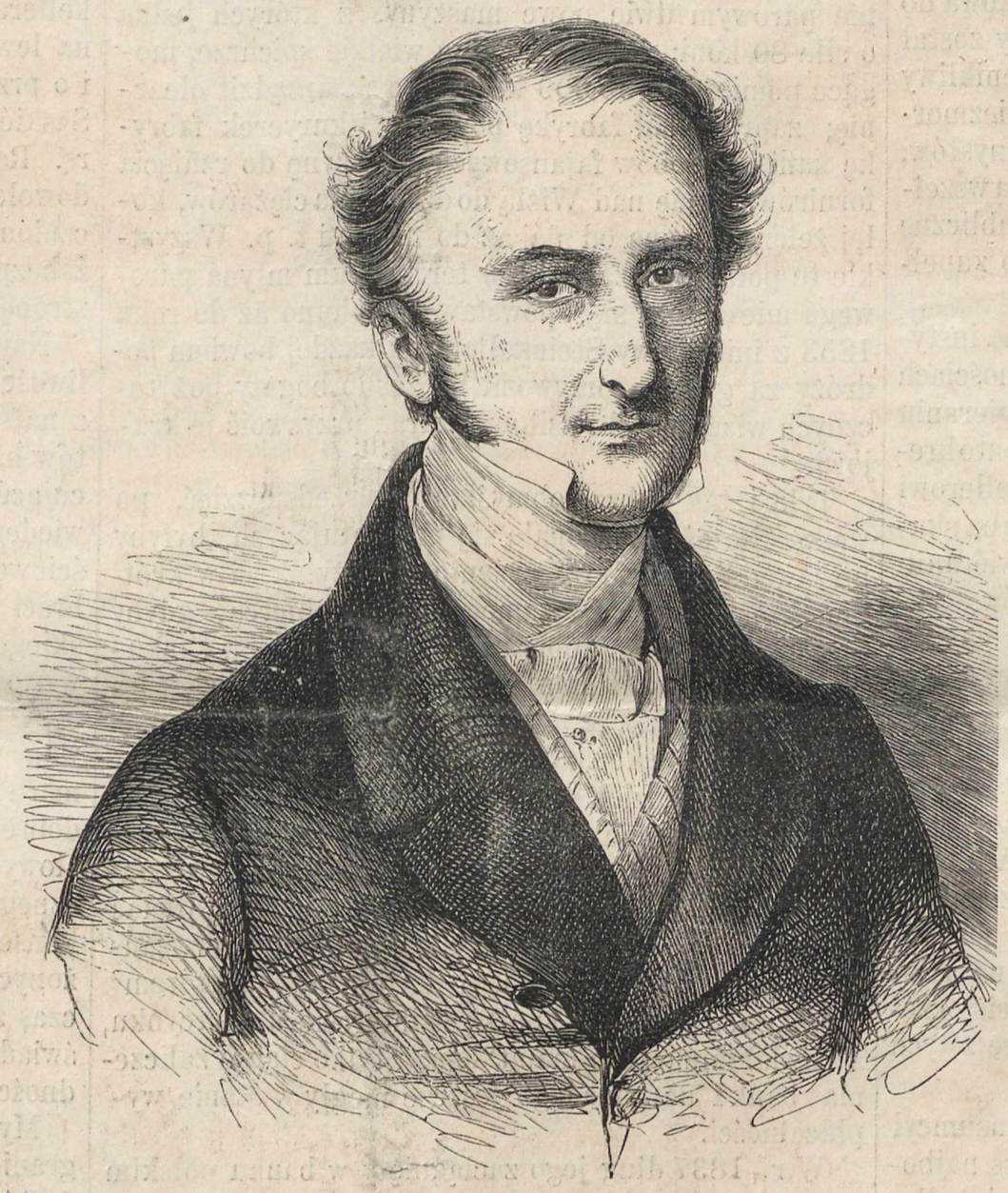

PIOTR STEINKELLER.

ŻARKI.

Mówiąc o Steinkellerze, niepodobna pominąć Żarek, jako pola na którém znakomity ten przedsiębierca przez lat dwadzieścia kilka działalność swoję rozwijał. Nie wdając się w szczegóły historyczne początku i przeszłości tego miasta, mało zresztą przedstawiające zajęcia, wspomnimy tylko, że położone w gubernii radomskiéj, powiecie olkuskim, nieopodal drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj, bo zaledwie o 6 werst od stacyi Myszków, liczy dziś przeszło 3,000 mieszkańców, — i zaczynamy opis nasz od chwili stanowiącéj epokę w jego dziejach, to jest od roku 1831, w którym dobra Żarki od rodziny hr. Męcińskich przeszły na własność Steinkellera.

Nowy właściciel Żarek już w r. 1833, gdy Bank polski urzeczywistnić chciał zamiar osuszenia kopalni olkuskich i wzniesienia hut żelaznych w Dąbrowie, założył tu fabrykę maszyn, którą w r. 1837 na obszerną skalę rozwinął, łącząc z nią kuźnie, kotlarnie, gisernię i emaliernię, wyrabiającą naczynia kuchenne i gospodarskie. W zakładach tych zbudowano między innemi dla górnictwa rządowego kilkanaście maszyn parowych, o sile od 6—100 koni, według pomysłu ś. p. Filipa de Gérard, naczelnego wówczas mechanika górniczego. Tu także wyrabiano bardzo cenione w swoim czasie maszyny i narzędzia rolnicze, znane powozy, nazwisko właściciela zakładu noszące, i słynne na kraj cały resory. Warstaty mechaniczne mieściły się w gmachu dwupiętrowym, 144 stóp długim, a 32 wysokim, i poruszane były za pomocą koła wodnego o sile 16 koni, oraz 12-konnéj maszyny parowéj wysokiego ciśnienia. Budowli téj dotykały składy, magazyny, kuźnie, emaliernia, gisernia, gazownia, wszystko to w wielkich rozmiarach, i nakoniec obszerne koszary na pomieszczenie stu kilkudziesięciu rzemieślników z rodzinami. Łatwo pojąć ile skupienie się tylu zakładów w jednym punkcie wpłynąć musiała na pomyślność materyalną miasta i jego okolic, ściągając znaczną liczbę fabrykantów i robotników, a przytém wywołując potrzebę dowozu surowych materyałów, przeznaczonych na przeróbkę, ku czemu poprowadzone przez właściciela w trzech kierunkach drogi bite, niemałą stały się pomocą. Rozwój ich w latach 1833—1842 ułatwiała blizkość zakładów górniczych w Dąbrowie, Niwce, Blachowni i Pradłach; po odłączeniu atoli w r. 1843 górnictwa od banku, Steinkeller wytrzymać nie mógł konkurencyi fabryki bankowéj, z wielkim nakładem na Solcu w Warszawie urządzonéj, i fabryka maszyn w Żarkach upadła.

W miejscu jéj dziedzic, w spółce z Lichtensteinem, założył wielką przędzalnię bawełny, która do dziś dnia istnieje, pod kierunkiem przedsiębiercy zagranicznego Lindheima. W zakładzie tym około 10,000 wrzecion dostarcza przędzę, zbywaną po większéj części do Łodzi, a trzystu kilkudziesięciu robotników ciągłe znajduje zatrudnienie.

Na każdym niemal kroku w dobrach żareckich napotkać można ślady rozległéj i wszechstronnéj działalności przemysłowéj Steinkellera. We wsi Masłońsku znajduje się jeszcze wielki piec, założony przez niego w r. 1836, wydać mogący rocznie do 12,000 cent. surowizny, a w Czarnéj Strudze fryszerka, przekuwająca niegdyś do roku około 2000 cent. żelaza z surowizny masłońskiéj. W tychże dobrach zbudował młyn amerykański, wydający najprzedniejszą mąkę pytlową, taką jaką obecnie Warszawa nabywa z młyna parowego na Solcu; urządził piekarnię, ułatwiającą ludności robotniczéj i wiejskiéj nabycie chleba po cenie przystępniejszéj; założył dystylarnię, do któréj sprowadził z Hamburga ulepszony a nieznany u nas aparat Falkmanna, oraz browar wzorowy w folwarku Jaworznik, dotychczas, zdaniem powszechném, pod względem dobroci wyrobu swego niedorównany; wystawił nakoniec cukrownię i przyrząd do mielenia kości na sztuczny nawóz. Jego także hojności zawdzięczają Żarki przebudowanie z gruntu miejscowego kościoła parafialnego, dokonane r. 1846 w stylu gotyckim, według planu budowniczego Marconi'ego.

Olbrzymi ten rozwój najrozmaitszych przedsięwzięć przemysłowych, nie stawał jednak na zawadzie obywatelskiéj troskliwości Steinkellera o postęp rolnictwa krajowego. On jeden z piérwszych zaczął sprowadzać z Szwajcaryi bydło poprawne i rasę jego u nas rozkrzewił; rozpowszechnił użycie sztucznych nawozów, używając w tym celu wytłoczyn po nasionach olejnych, czyli tak zwanych makuchów, kości mielonéj i mączki gipsowéj; urządził w Żarkach łąki sztucznie nawodniane i dreny czyli rurki podziemne do odprowadzania z pól zbytecznéj wody, jeden z najdobroczynniejszych w gospodarstwie ziemskiém wynalazków spółczesnych, dotychczas u nas dostatecznie nieoceniony; zaprowadził udoskonalone pługi belgijskie, brony żelazne i skaryfikatory do spulchniania roli; nakoniec siewniki do uprawy rządkowéj zboża i pielniki do oczyszczania pól z chwastów. Tyle i tak różnorodnych zasług jedna Steinkellerowi niezaprzeczone prawo do wdzięcznéj pamięci naszych ziemian, którym on piérwszy wynalazki i ulepszenia zagraniczne uczynił przystępnemi, zachęcając ich nadto własnym przykładem i osiągnionemi rezultatami do wprowadzania takowych w użycie.

Kończąc rzecz o Żarkach, nadmieniamy jeszcze, że dobra te przed dwoma laty przeszły w posiadanie spółki, złożonéj z pp. Karola Ordęgi, Stanisława Les-

sera i Karola Osterloffa, któréj staraniem uśpiona po śmierci Steinkellera czynność fabryczno-przemysłowa znacznie się teraz odżywiła. Kosztem téj spółki wzniesiono między innemi wielki piec do wypalania wapna i fabrykę cegieł ogniotrwałych w Nowéj wsi, chlubnie już znaną z dokładności swych wyrobów.

ŻARKI.

KOŚCIÓŁ Św. BERNARDA W WROCŁAWIU.

Sąsiedni nam Wrocław, zamieszkały niegdyś przez lud polski, dawna dziedzina Piastów, przechowuje w swém łonie wiele gotyckich, budową i ogromem zadziwiających świątyń, które jeżeli swoją pięknością każdego wędrowca zachwycić mogą, to nas tém bardziéj zająć powinny, gdy do nich wiąże się wspomnienie, że niegdyś w ich murach wznosiły się pobożne pienia naszych naddziadów, i pokorne płynęły modły do stóp Stwórcy o błogosławieństwo dla jednego plemienia. Pragniemy czytelnikom naszym od czasu do czasu okazywać te zabytki przeszłości na szląskiéj ziemi i spodziewamy się że mile przyjętemi zostaną.

Do piękniejszych kościołów wrocławskich niewątpliwie należy kościół farny św. Bernarda. Data założenia téj świątyni jest wiadoma dokładnie, gdyż przed kilką laty, wczasie jéj odnowienia, znaleziono pod stallami pismo. które świadczy iż kamień węgielny położono w dniu 26 maja 1464 r. Przedzbudowaniem teraźniejszego kościoła, stała w tém miejscu kaplica, poświęcona św. Bernardowi z Syenny, przez pobożnego franciszkanina św. Jana Kapistrana. Przybył on w r. 1453 w towarzystwie 30 braci zakonnych na zaproszenie biskupa Nowaka, spotkany uroczyście od ludu wrocławskiego. Pierwsze zaraz kazanie wymownego zakonnika, powstające przeciwko zbytkowi, takim lud przejęło zapałem, iż skruszony nagromadziwszy szaty i inne przedmioty zbytku, własną je ręką podpalił. Spory dawnego zakonu franciszkanów z bernardynami spowodowały magistrat, który uznał się przez tych ostatnich pokrzywdzonym, iż klasztor zabrał a zakonników wypędził.

Późniéj oddano tę świątynię wyznaniu ewangielickiemu i przeznaczono na kościół parafialny. Budowla ta uległa kilkakrotnie nieszczęśliwym wypadkom. W roku 1491 spadła część sklepienia, a ponieważ naprawa długiego wymagała czasu, przeto dopiero w r. 1502 na nowo ją poświęcono. Późniéj zgorzał kościół wraz z klasztorem i przez długi czas stały opustoszone mury, dopóki ich znowu nie oddano służbie Bożéj.

Znajduje się tu godny widzenia obraz św. Jana Kapistrana, a oprócz tego znakomity zabytek sztuki średniowiecznéj, tak zwany, *obraz Jadwigi*. Jest to ołtarz szafiasty, który zdaje się przeniesiony tu został z kościoła św. Ducha, zbudowanego przez Jadwigę, małżonkę Henryka I. Obraz środkowy i 16 pomniejszych, składających drzwi, przedstawiają czyny książąt, w rysunku twardym, lecz nie pozbawionym wdzięku i zajmującym dla znawcy. Przed kilką laty urządzono kościół dla wspólnego użytku wyznawców religii katolickiéj i ewangelicko-augsburgskiéj.

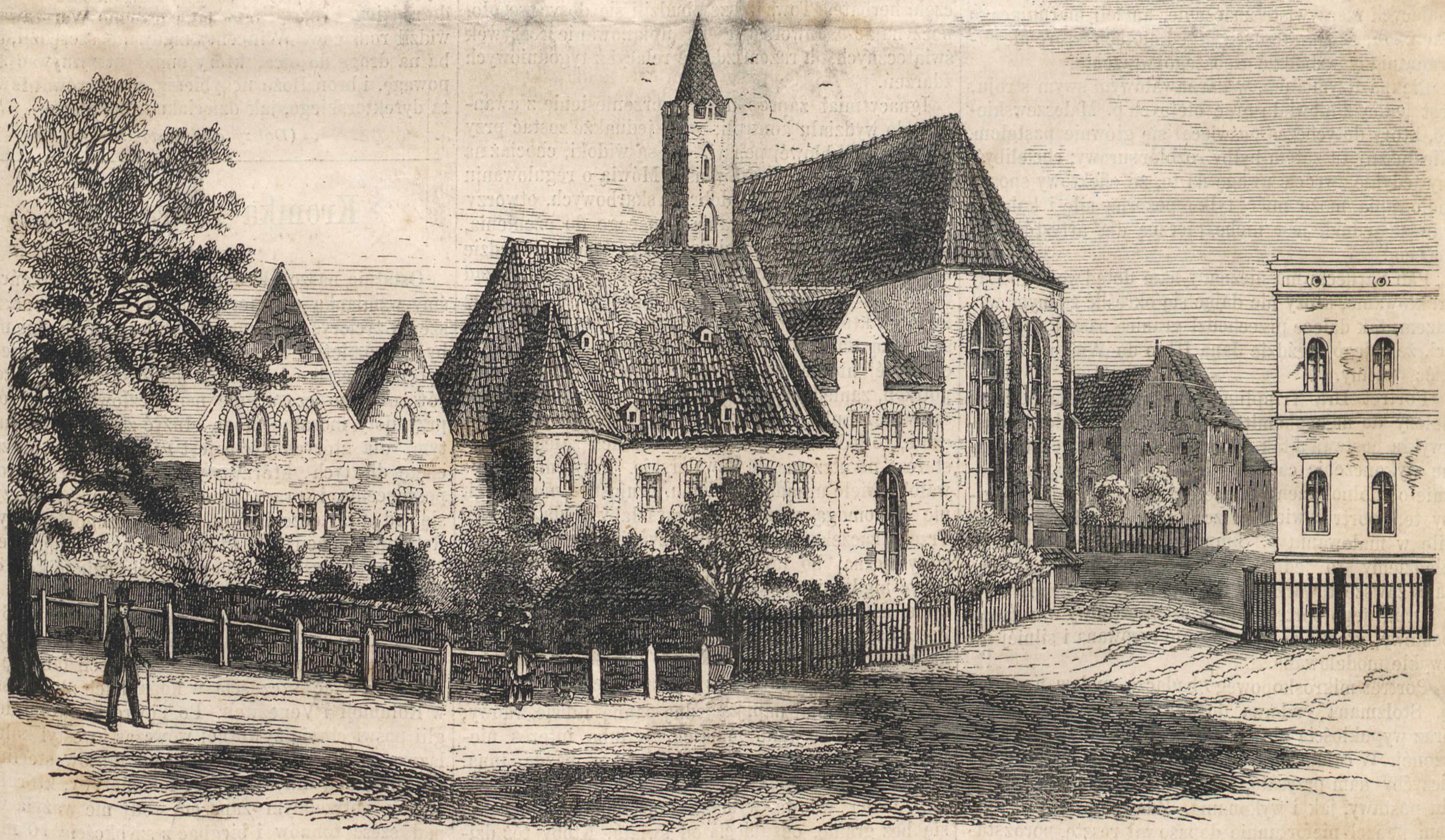

KOŚCIÓŁ Św. BERNARDA W WROCŁAWIU.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

Cichym, skromnym i powolnym krokiem wzrastająca wystawa krajowa sztuk pięknych, zaledwie trzy salki dotychczas zajmująca, dziś już doczekała się obszernego lokalu, i zapełnia całe piętro dawniejszego pałacu Mokronowskich. Traci ona wyraźnie pierwotny swój pozór tymczasowości, i zaczyna przybierać nareszcie należny sobie charakter wystawy nieustającéj. Położenie lokalu najszczęśliwiéj obraném zostało; wprawdzie ani wielkość, ani wysokość, a najbardziéj oświetlenie sal nie jest odpowiednie ich przeznaczeniu; ależ przecie „chi va piano, va sano“, jak mówią Włosi, zdrowo dojdzie, kto powoli zdąża, powoli téż doczekamy się może i galeryi umyślnie wzniesionéj

dla naszéj wystawy, a po dotychczasowéj, niczém nie zrażonéj wytrwałości jéj organizatorów, wiele spodziewać się ośmielamy.

Jednocześnie z rozprzestrzenieniem lokalu, pojawiło się wiele prac nowych, które przerywają przydługą już trochę stagnacyą wystawy.

Nie znajdujemy w nich wprawdzie ani nowych dążności, nowych przejawów w sztuce, ani nowego dla publiczności nazwiska, z szczerą jednak radością witamy choć dawnych tych znajomych.

Nigdy może jeszcze p. Pillati tak silnego i trwałego nie wywołał wrażenia, jak ostatniém swém „wnętrzem szynku na Starém mieście". Uchwyceniem charakteru, siłą tonu, świetnością kolorytu, prawdą w całości, obraz ten przewyższa wszystkie prace tego artysty, jakie tylko przesunęły się przez wystawę. Głowa kulawego dziada, przekupki i jednego ze stałych widać konsumentów tego szynku są wyborne. Tło, w ogóle tak prawdziwe, nie ma jednak odpowiedniéj głębokości w miejscach gdzie przeglądają rzędy flaszek niezliczonych; jest ono tam bardziéj czarne, niż pozbawione światła. Effekt zyskałby jeszcze niezawodnie, gdyby przekupka, z całym swym doskonałym taborem, znacznie mniéj była oświetloną. Ależ ile tam ognia, artystycznego uczucia, obrazowości! Oniemal że gotowi jesteśmy pogodzić się ze szkicowém traktowaniem, które p. Pillatemu tylko, i to niezawsze, szczęśliwie powieść się może.

Oryginalną nowością są trzy psy p. Sypniewskiego. Zgrabny charcik chciałby się pobawić z małym i żarłocznym pieskiem, którego warczenie wybornie jest uchwycone. Trzeci poważny pies kudłaty, nie raczy nawet spojrzéć na swych towarzyszów. Pomimo wielkiéj prawdy, traktowanie jednak suche jest i nieśmiałe.

Drugi niewielki obrazek historyczny p. Sypniewskiego przedstawia Jagiełłę, któremu przynoszą rycerze skrwawione szaty poległego w bitwie brata jego Świdrygiełły. Niezwykła staranność całego układu odróżnia ten obraz od innych prac tego artysty. Kompozycya tak dramatycznéj treści za wiele wprawdzie ma jeszcze w sobie pierwiastków malarstwa rodzajowego; widocznie jednak pracował nad tém i zastanawiał się artysta. To nam najlepsze rokuje nadzieje, i wolimy widzieć go probującego sił swoich na kompozycyach mających rzeczywiste znaczenie, aniżeli marnującego swe zdolności na błahych przedmiotach, które nie potrafią nigdy wzbudzić głębszego wrażenia.

Piękna Rzymianka, w karnawałowym swym stroju, jest jedną z niewielu prac olejnych p. Maleszewskiego, który dotychczas poświęcał się głównie pastelom. Niesłuszny tu zatém byłby rozbiór surowy; chcielibyśmy jedynie zwrócić uwagę na to, że effektowy sposób malowania może miéć tylko pozorną siłę i koloryt, zawsze jednak jest niebezpieczną dla artystów dążnością.

Pan Sarnecki ma nieznany nam dotąd wcale rodzaj traktowania, który nie dając się określić żadnym wyrazem, tak dalece przechodzi granice naszéj pojętności, że o jego wjeździe Jana IIIgo do Wiednia zamilczéć wolemy.

Portret Dra Tripplina bez zaprzeczenia policzyć należy do najznakomitszych prac p. Simmlera. Niezwykła postawa a tak odpowiednia, wytrwałe i sumienne wykończenie całości i cząstek, świadczą tu wyraźnie o zdolnościach i nauce artysty. Wprawdzie mógłby ten portret wiele jeszcze zyskać, gdyby większą siłę w malowaniu p. Simmler wydobyć się postarał; kładziemy to jednak na karb zmienności kolorów, jaka zawsze towarzyszy malowaniu „alla prima".

Drugi jego portret mniéj jest szczęśliwy w układzie postawy; głowa za to wybornie rysowana i silniéj niż zwykle modelowana.

Portret mikroskopowego badacza, malowany przez p. Stolzmana, uderza doskonałym światłocieniem, oraz wypukłością głowy, z precyzyą i prawdą wykończonéj. W całém znowu otoczeniu same usterki wyliczyćby nam przyszło, tak co do niezręcznego układu postawy, jak i wykonania. Zdawałoby się że inny tam penzel niefortunnie dopasował resztę, porozstawiał akcessorya i starannie rozprowadził tło aż nadto puste.

Rozpatrzenie kilku nowych pejzażów pozostawiamy do dalszych sprawozdań.

NOWY KASTOR I POLLUKS,

albo

HISTORYA O DWÓCH ZASUSZONYCH KAWALERACH

NA WARSZAWSKIM BRUKU.

(Opowiadanie Cześnikiewicza.)

(Ciąg dalszy.).

II.

Upłynęło od téj pory lat cztéry, wiele odmieniło się na świecie, a mianowicie w Warszawie całe dekoracye zmieniły się do niepoznania. Imiona paniczów świecących na horyzoncie uciechy przyszły nowe, piękności modne zeszły ze sceny, dźwigło się domów wiele, postąpiła opera. Ba! co się to nie stanie przez lat cztéry w Warszawie!

Na Kanoniach tylko mało się odmieniło, może tylko ze dwa domy lokatorów nowych i dwie kamienice odmalowano świeżym kolorem. Pan Jezus tak samo spoglądał ze ściany tylnéj kościoła na plac cichy Kanonii, błogosławiąc pracowitość, która tutaj się krzątała. Cholewita i Perła mieszkali ciągle razem, na tém samém poddaszu, tylko że ono zakopciało troszkę, ale za to umeblowane staranniéj.

W oknie widać firaneczki białe i doniczki z kwiatami. Przy oknie świegocą w klatce dwa czyżyki żwawe. Na łóżku Ignacego leży suczka, angielska wyżliczka; łóżko przykryte czerwoną nową kołdrą, już jesionowe; za łóżkiem widać komodę mahoniową odnawianą. W kącie świeci się połyskliwie mosiężna miednica i fajansowy dzbanek. Nad komodą wisi etażerka pełna książek, a na komodzie stoi zegar antyk bronzowy, bardzo piękny.

Po stronie Perły zamiast łóżka sofa wygodna, nad nią dywan, para pistoletów i szpada po ojcu, którą miał w ręku pod Sierra Morena. Przy sofie bardzo eleganckie biureczko z fraszkami i bukietem świeżych lewkonij w wazonie, fotel aksamitem utrechtskim wybity. Daléj szafa jesionowa, paradna fajczarnia, co wszystko zdaje się dowodzić daleko posuniętéj zamożności lokatorów.

Był to także niedzielny poranek; ta sama Teklusia, tylko bardziéj otyła, wniosła samowar i nastawiać poczęła herbatę. Towarzysze obudzili się dosyć wesoło, poczynając konwersacyą na uplanowanie rozrywek świątecznych, a razem zdanie relacyi z tygodniowych zdarzeń.

Ignacy miał zaproponowane przeniesienie z awansem do wydziału kontroli; woli jednakże zostać przy cztérechsetrublowéj pensyi, bo są widoki, chociaż na późniéj, ale znacznego awansu. Mówią o regulowaniu włościan w donacyach i dobrach skarbowych, otworzy się pole. Wujenka nagania Ignacego do ożenienia, mówiąc że nigdy nie dorobi się niczego, dopóki nie będzie miał wyraźnego celu życia i żony kochanéj, któraby rząd domowy trzymała. Wtedy oczy Ignacego obracają się ku Zosi, która ma lat dziewiętnaście i jest najpiękniejszą jaką on zna dziewczyną; jakoś nasuwa się myśl czyby jéj nie poślubić... Ale kobieta piękna ma tyle potrzeb, zaniedbać jéj niepodobna, a utrzymać za kosztownie. Lubo Ignacy zarabia do sześciu tysięcy rocznie, to jednak w dzisiejszych czasach zaledwie wystarcza na utrzymanie kawalerskie. Przytém kosztowałoby wiele urządzenie domu, wujostwo nie bogaci, nie dopomogą w niczém, przyszłaby biéda i troski. Trzeba zaczekać, aż pensya przynajmniéj będzie pięciotysięczna; bo na lekcye i zatrudnienia prywatne liczyć nigdy nie można, gdy zwłaszcza małżeńskie pożycie nastręczy tyle dystrakcyj czas zabierających. Zosia bardzo mile spogląda na niego, ale nigdy słówka nie powié, któreby zdradzało miłość, bo wtedy... Ale niepodobna ryzykować się na takie ambarasy!

Wincenty miał napiętą jednę pannę i dwie wdowy; każda posiada jakiś majątek, a lubo interes nienajgorszy, są przecież trudności, z każdą inna. Matka panny myśli dostać na zięcia wielkiego pana. Jedna wdowa wymaga kochania i poświęcenia się bez granic, odsunięcia od świata. Ktoby téż dzisiaj wyżył bez towarzystwa! Druga wdowa, wesoła, żywa, drży tylko za wrzawą i uciechą. Podruinowała nieboszczyka, dzisiaj spekuluje na męża ze środkami lub głową. Dałoby się to jakoś zrobić, ale ona ma posag za mały, a potrzeby znaczne. Perła ma dopiero trzy tysiące pensyi, a kommissorya, na które wysyła go często dyrektor główny, nie przynoszą więcéj nad cztéry tysiące. Nareszcie to niestałe; trzeba czekać lepszych czasów.

Obydwaj byli zdolni, pracowici, sumienni; nic dziwnego więc że po cztérech latach służby każdy miał już pensyą znaczną i urząd ważniejszy. Koledzy, starsi aplikacyą, jedni mieli zaledwie dyety, drudzy wyczekiwali jeszcze na etat: mnóstwo oczów patrzyło na nich zazdrośnie.

Po udzieleniu sobie rozlicznych uwag, po wyspowiadaniu się z projektów i nadziei, Ignacy począł opatrywać swoje czyżyki, które niespokojnie wołać zaczynały o prowiant dzienny, a suczka wspinała się do stołu zastawionego herbatą. Dyżur nalewania herbaty wypadał na Perłę; ten znowu, po zalaniu czajnika, stanął przed lustrem i starannie zaczął czesać rzęsistą czuprynę, zmaczał, uczesał i podwiązał faworyty, wygolił ostatni włosek zabłąkany na brodzie, ziewnął potém i zasiadł do stołu. Ignacy otrzepał ostatni pyłek z książek, przygotowane przez chodzącego na godziny lokaja suknie poprzeglądał i usiadł także, z Plutarchem w ręku i suczką na kolanach.

Konwersacya ludzi cztéry lata mieszkających ze sobą, wcale nie ciekawa. Wincenty wróżył przy pogodzie zjazd liczny na Wiejskiéj kawie, lub w Łazienkach królewskich. Ignacy miał na popołudnie towarzyszyć wujence z Julką i Zosią do Saskiego ogrodu; ztąd wniosek że wypada zafundować lody u Lessla, co oczywiście niemiłe, bo sprowadza wydatek, a pieniądze potrzebne na Volumina legum, które stargowawszy ma wypłacać przez rok cały ratami. Wincenty pożartował z bibliomanii kolegi, ubrał się elegancko i ruszył na wędrówkę po kościołach i wizytach. Ignacy zasiadł w oknie, długo patrzał na okolicę odzianą prześliczną pogodą, w czém pomagała mu ulubiona suczka, nareszcie westchnął i począł się ubierać na wycieczkę bez celu po miejskim bruku.

Tak wyglądali po cztérech latach dwaj lokatorowie na Kanoniach. Na ten raz Wincenty był bogatszym; silny zaufaniem dyrektora głównego, miał protekcyonalną minę, widoki świetne, urodę w całéj sile. Ignacy pracował od rana do zmierzchu przez dzień cały, zarabiał dosyć, wydawał wszystko. Od czasu do czasu, z oszczędzonego grosza, zapłacił za ojca ratę towarzystwa kredytowego, posłał prezent matce, ale tak się już zasiedział w Warszawie, że nawet nie tęsknił do rodziny, i raz tylko z pięciodniowym urlopem odwidził rodziców. Wincenty nigdy nie szczędził, chyba na drogę do ojca, który umiał utrzymywać swoję powagę, i broń Boże uchybienia, masakrował faworyta dyrektorskiego, jak dzieciaka z bakalarni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kronika zagraniczna.

Ostatnią naszę „Kronikę zagraniczną" zakończyliśmy wzmianką o śmierci Roberta Stephensona. Obszerny życiorys tego znakomitego człowieka nie mógłby się pomieścić w szczupłych jéj ramach; że jednak był on nietylko jednym z najgłośniejszych inżenierów naszego czasu, ale nadto człowiekiem którego przymioty moralne mogą służyć za przykład i naukę tym, dla których życie jest *użyciem* tylko, a za zachętę dla tych, którzy wybrali sobie ciernistą drogę poświęcenia i pracy: niepodobna nam powstrzymać się od przytoczenia tu kilku szczegółów z żywota Roberta Stephensona, którego obszerne biografie całe kolumny wszystkich znakomitych dzienników europejskich zajmują.

Robert Stephenson zgasł zawcześnie, bo w 56 roku życia. Był on synem fabrykanta machin parowych z Newcastel; w 22 roku życia opuścił fabrykę ojca, aby próbować szczęścia w kopalniach złota i srebra w Kolumbii i Venezueli. Po powrocie swoim do Anglii poświęcił się żywotnéj wówczas kwestyi kolei żelaznych i otrzymał nagrodę 500 funtów sterlingów, przeznaczoną dla wynalazcy lokomotywy, któraby razem z potrzebnym zapasem wody nie ważyła więcéj nad sześć tonnów i biegnąc z szybkością 10 mil angielskich na godzinę, mogła uciągnąć ciężar 20 tonnów wynoszący.

Pomijamy dalsze szczegóły publicznego życia Roberta Stephensona, które czytelnik łatwo znaleźć może w świéżo ogłoszonych jego biografiach, aby poświęcić słów kilka domowemu życiu znakomitego człowieka.

Był on jedynym synem pierwszéj żony swojego ojca, pięknéj ale ubogiéj córki wieśniaka nazwiskiem Henderson. Matka niedługo umarła, dawszy życie dziecięciu, którém kiedyś Anglia szczycić się miała.

Gdy Robert wyrósł na młodzieńca, ojciec i syn uczyli się nawzajem: stary mechanik korzystał z teoretycznego wykształcenia młodego inżeniera, a temu znów długoletnie doświadczenie ojca było wielkiém ułatwieniem w praktyczném zastosowaniu nabytych wiadomości. Pracując wspólnie, zbudowali pierwszą lokomotywę, i odtąd dzielili dary fortuny i sławę, jak niegdyś razem rozpoczęli trudny zawód, walcząc z przeciwnościami losu, z zaślepieniem niechętnych i z nędzą. Ojciec umarł przed kilką laty w 76 r. życia.

Rozważając żywot takich ludzi jak dwaj Stephensonowie, myśl nasza pomimo woli zwraca się do cudów, jakie w wieku naszym stworzyły nauka i praca. Że ludzie chętnie plam w słońcu wyszukujący, zaprzeczając twórczego ducha naszemu wiekowi, w odległéj starożytności szukają pierwszéj myśli wynalazków, które dziś dopiero zastosowanie znalazły, — czegóż to dowodzi? Chyba uczucia zazdrości w tych, co nic sami nie zrobiwszy, z zawiścią patrzą na owoce prac swoich bliźnich.

Professor Volpicelli utrzymuje, że pierwsze przypuszczenie o możliwości zaprowadzenia telegrafii elektrycznéj, winni jesteśmy geniuszowi włoskiemu. Na poparcie swego twierdzenia podaje wyciąg z dzieła pod tytułem: *Il negoziante di Gio: Domenico Peri Genevese* (Wenecya 1649 r., 2 części, str. 86) zachowane w bibliotece *Angelica* w Rzymie, w którém czytamy: „Są ludzie co twierdzą, że za pomocą grubego kawałka magnesu, podzielonego na dwie równe części, można pisywać listy do krajów oddalonych. Zdaje się to być rzeczą trudną, a przecież nie jest niepodobném.“

Drugą w tymże przedmiocie wzmiankę znajdujemy w małéj broszurze, wydrukowanéj w Paryżu u Jana Morceaux, pod tytułem: *Recréation mathématique, composée de plusieurs problèmes plaisans et facétieux.*

Że myśli te, rzucone w pośród powszechnéj ciemnoty, nikły jak gwiazdy spadające, nie dziwim się wcale. Lecz na co szukać tak daleko? W czasach niebardzo dawnych los Salomona Caus i Galileusza spotkał człowieka, który dziś może podobne jak Robert Stephenson i tylu innych, zająłby stanowisko.

W 1787 r. żył w Poitiers robotnik, trudniący się pozłacaniem metalów, nazwiskiem Alexandre. Wychował się on w domu podrzutków i słusznie albo niesłusznie uchodził za naturalnego syna Jana Jakuba Rousseau. Alexandre posiadał głos bardzo piękny i to dało powód, że przeniósłszy się z Poitiers do Paryża, otrzymał korzystne bardzo miejsce w kościele św. Sulpicyusza.

W najkrwawszych dniach rewolucyi widzimy Alexandra prezydującym w sekcyi luksemburgskiéj. Proponowano mu nawet podobno w tym czasie mandat reprezentanta w konwencyi; ale odmówił tego zaszczytu, przekładając nadeń powrót do Poitiers, gdzie wysłanym został w charakterze kommissarza wojennego.

W 1802 r. powrócił do prywatnego życia i napisał do Chaptala, naówczas ministra spraw wewnętrznych, list, zawiadamiając go o ukończeniu przyrządu telegraficznego, którym oddawna się zajmował.

P. Cochon de Lapparent, prefekt departamentu Vienne, służył za pośrednika pomiędzy wynalazcą a ministrem, i 13 brumaire X roku rzeczypospolitéj złożył temu ostatniemu raport, w którym przedstawia korzyści i przymioty nowego wynalazku.

Otrzymawszy odmowną odpowiedź od p. Chaptal, Alexandre udał się do Tour i w obecności prefekta departamentu Indre et Loire robił publiczne doświadczenia, które powiodły się zapełnie. Prefekt podyktował Alexandrowi: *Geniusz nie zna granic*, a zdanie to, jak wiele innych, przyrząd zakommunikował na pierwsze piętro pałacu prefektury.

Tymczasem fundusze wynalazcy wyczerpywały się; odwołał się do towarzystw rozmaitych, i zebrawszy szczupłą pomoc pieniężną, zaniósł nakoniec prośbę do pierwszego konsula. Ten ostatni odesłał prośbę Alexandra do p. Delambre, członka instytutu, załączywszy opinią p. Cochon de Lapparent.

Akademik, nie znając sam przyrządu Alexandra, radził tylko pierwszemu konsulowi, aby kazał w swojéj obecności doświadczenia powtórzyć.

Niestety! pierwszy konsul nietylko nie przyjął Alexandra, lecz postawił go na równi z szarlatanami, od wieczora do nocy cisnącemi się do jego przedpokoju. Alexandre umarł niezadługo, a wynalazek jego, spoczywający w grobie zapomnienia przez pół wieku blizko, dziś dopiero został wskrzeszony, aby nieobliczone ludzkości oddać usługi.

Pomiędzy nowemi utworami scenicznemi, jakie w ostatnich dniach ukazały się na rozmaitych teatrach paryzkich, największe wrażenie wywarła sztuka p. t. *Le dettes du coeur* Augusta Maquet, nie wiemy który już raz w bardzo krótkim przeciągu czasu z wielkiém powodzeniem powtarzana. Wspominamy o tém dlatego mianowicie, że nazwisko Augusta Maquet mało u nas jest znane, choć czytelnicy niejednę zapewne przyjemną chwilę winni pisarzowi, który na spółkę z Aleksandrem Dumasem napisał kilkanaście romansów. Niektóre więc szczegóły o tym człowieku, co tak mało cenił sławę autorską, że jéj chętnie patronowi swemu ustępował, poprzestając na zyskach materyalnych, może zająć ich zdołają.

Zazwyczaj więksi i mniejsi pisarze i pisarkowie wcześnie sił swoich próbować zaczynają. Pan Maquet przeciwnie długo zajmował się nauką, nie marząc o stanowisku, jakie kiedyś jego prace zająć miały w literaturze nadobnéj. Karyerę swoję rozpoczął jako professor kollegium Karola Wielkiego. Jakim sposobem wszedł w stosunki z Aleksandrem Dumasem ojcem, tego nie wiemy; ale wolno nam się domyślać, że professor dostarczał w początku romansopisarzowi not, dokumentów, i czerpał dla niego w starych źródłach pleśnią wieków pokrytych. Później Dumas, dopatrzywszy się w swoim pomocniku przymiotów koniecznych dla powieściopisarza, umiał go zręcznie pociągnąć za sobą i talent współpracownika na własną korzyść obrócić. Na mocy układów, których treści nie znamy, woda Maqueta płynęła na koło Dumasa. Dzielono się wprawdzie zyskami, lecz jedno imię tylko błyszczało na tytułowych kartach romansów i ponad felietonami dzienników. Przedstawiono wreszcie *Muszkieterów* w teatrze Ambigue, z powodzeniem przechodzącém wszelkie oczekiwanie. W jednéj z loż p. Maquet, jako prosty widz, znajdował się na przedstawieniu. Zasłona spadła pośród szalonych oklasków i zaczęto wołać autora.

Aktor Melingue wystąpił w kostiumie d'Artagnana, i kiedy po licznych brawach nastąpiło milczenie, powiedział:

— Panowie, autorami sztuki którąśmy mieli honor przedstawić są panowie Aleksander Dumas i Maquet.

Maquet uczuł się wzruszonym do głębi duszy. Ten publiczny wymiar sprawiedliwości, im mniéj spodziewany, tém więcéj zachwycić go musiał. Ze łzami w oczach rzucił się w objęcia A. Dumasa i związek przyjaźni zdawał się być na wieki między nimi utwierdzonym. Niestety! nastąpiły późniéj nieporozumienia, a nawet proces gorszący, który w naszém przekonaniu obydwie strony w nienajlepszém świetle przedstawił.

Do bardziéj cenionych utworów Maqueta należą: *Vallèria*, dramat napisany wspólnie z J. Lacroix, *La belle Gabrièle* i wzmiankowane wyżéj *Les dettes du coeur*, które wyłącznie na swoję rękę wypracował.

Redakcya „Tygodnika Illustrowanego“ ma zaszczyt uwiadomić wszystkich pp. autorów, którzy nadsyłać jéj raczą swoje prace, że rękopisy mniejszéj objętości nikomu zwracane nie będą.

P. Kol. w Warszawie. Słusznie Pan zauważyłeś, że w ostatniém naszém zadaniu szachowém mat może być dany za czwartém posunięciem; ale mat taki jest łatwy, gdy tymczasem mat w pięciu posunięciach należy do trudniejszych. Najsławniejsze dzieła szachowe zagraniczne podają niekiedy takie końcówki, umyślnie dla wprowadzenia w błąd graczów mniéj wprawnych. Rebusy Pańskie nie są zadane podług prawideł.

P. P. M Chr. i A. N. w Warszawie. Wierszyków nadesłanych drukować nie możemy.

P. X. w Warszawie. Poemat p. t. „Powrót do ojczyzny“ każdego czasu odebranym być może w kantorze wydawcy „Tygodnika.“

P. Antoniemu Weredykowi w Warszawie. Więcéj położonych zasług, z czasem nadać Panu może prawo do otrzymania tego czego żądasz.

P. L. K. w Warszawie Zasada Pańska co do rozdzielania niektórych wyrazów, mogących wyrodzić brzmienia niemiłe dla uszu *zbyt drażliwych*, nie jest wcale nowością. Za czasów jeszcze ś. p Kopczyńskiego wielu przestrzegało jéj surowo. Dzisiejsze jednak pokolenie, hartowniejszych snadź nerwów, lecz za to mniéj przyzwoite, zaczyna trzymać się w tym względzie prawideł etymologii i fonetyki, oddzielając: *wszy-scy, szczy-gła*, zamiast (jak Pan wymagasz) *wszys-cy, szczyg-ła.*

Pustelnikowi z okolic Ciemnogrodu. Rozwiązanie jest dobre, lecz spóźnione. Opinie wyrażone wierszem osobiście podzielamy, chociaż stosować się musimy pod tym względem do życzeń *większości* czytelników.

P. Bocianowskiemu w Wilnie. Żałujemy szczerze, iż poematu tak wielkich zalet jak nadesłany, dla braku jedynie miejsca, drukować nie możemy. Dołączone rysunki są prześliczne, zapraszamy téż całém sercem p. A. do grona współpracowników naszych na polu artystyczném. O artykuły opisów prozą z rysunkami, zwłaszcza miejsc pamiątkowych, najuprzejmiéj prosimy, zapewniając stosowne za nie wynagrodzenie.

KSIĘGARNIA
HENRYKA NATANSONA
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w pałacu
JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,
wprost kościoła ks. Karmelitów,
otrzymała następujące nowe dzieła:

Drobnostki gospodarskie, z własnego czterdziestoletniego doświadczenia spisane, przez Józefa Gluzińskiego. 8ka Warszawa 1860, kop: 60.—Dwanaście krajobrazów do dziejów Polski potocznym sposobem opowiedzianych, skreślił Joachim Lelewel, 4ka Poznań, kop. 60.—Komedye humorystyczne, napisane przez Michała Konickiego, 16ka Warszawa 1859, kop. 75.—Resztki życia, powieść przez J. I. Kraszewskiego, 4 tomy 16ka Warszawa 1860, rs. 3 k, 60.— Szaraczek i karmazyn, powieść w 2ch częściach, przez Walentego Łozińskiego. 8ka Lwów 1859, rs. 1 k. 65.

NAKŁADEM KSIĘGARNI
KAROLA BERNSTEJNA,
przy ulicy Miodowéj
wprost kościoła oo. Kapucynów,
wyszły w tych czasach następujące nowości:

1. Biblioteka popularna nauk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału A. Bernsteina, zawiera.

Tom Iszy. Niektóre zjawiska przyrody, kop. 60.

Tom IIgi. O życiu ziemi, o instynkcie zwierząt, kop. 60.

Tom IIIci. Znaczenie chemii w życiu praktyczném. kop. 60.

Tom IV i Vty. Tajemne siły przyrody, 2 tomy rs. 1 kop. 20.

Tom VIty. O rozwoju zwierzęcego życia, pożytki i ważność tłuszczu w organizmie ludzkim, postęp ludzkiego ducha, kop. 60.

Tom VIImy. Przekształcenia i ruchy w przyrodzie, szybkość światła, kąpiele i ich skutki, kop 60.

Tom VIIImy. O życiu roślin, zwierząt i ludzi, kop. 60.

2. Klejnoty poezyi polskiéj, oddział IIgi poczet Iszy, z portretem K. Brodzińskiego, kop. 30.

ditto oddział IIIci poczet IIgi, z portretem A. Mickiewicza i poglądem na jego poezye, kop. 30.

ditto oddział IIgi poczet IIIci, z ryciną zamku Kaniowskiego i poglądem na poezye S. Goszczyńskiego, kop 30.

Jourdier A. Pijawka, jéj hodowanie i pielęgnowanie, oraz korzyści z jéj hodowli wypływające, przełożył i uwagami uzupełnił Albin Rohn, z drzeworytami, kop. 60.

Twarowska. T. Gospodyni polska, czyli poradnik dla niewiast naszych, oprawna w tekturkę, rs. 1 kop. 20.

ditto nieoprawna rs. 1.

Truba dur. Tekst do opery w 4 aktach, tłumaczony przez Jana Chęcińskiego, kop. 30.

HISTORYA JEDYNACZKA W 32 OBRAZKACH.

(Według pomysłu L. Kunickiego, rysował F. Kostrzewski.)

(Dalszy ciąg.)

Nr. 16. I prowadzi dom otwarty i wesoły.

Nr. 17. Dla poznania więcéj ludzi i świata, jedzie do Warszawy na karnawał.

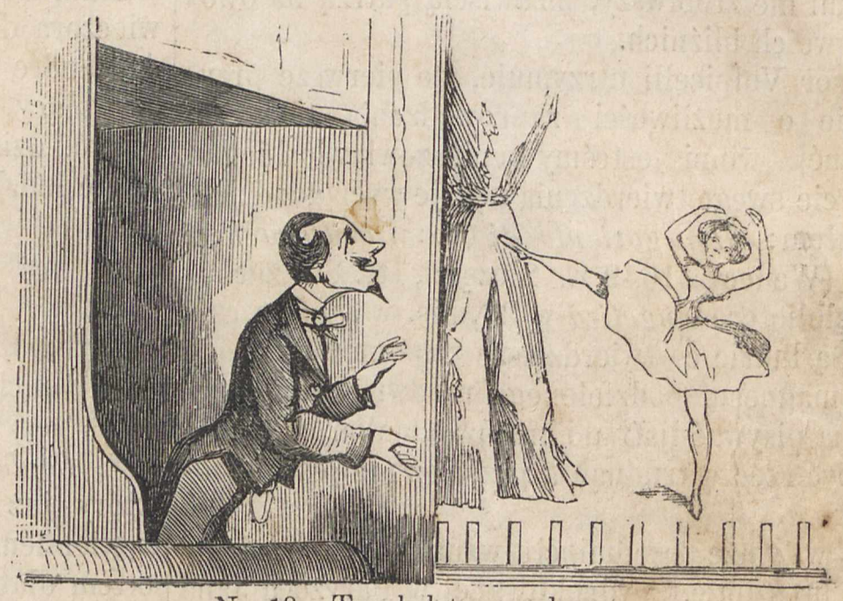

Nr. 18. Tam balet go zachwyca.

Nr. 19. Robi wiele i nadzwyczaj łatwo znajomości.

Nr. 20. Jeździ wagnerkami w takiéj pozycyi.

Nr. 21.
Opowiada młodemu krewnemu ze wsi, jak mu w Warszawie mile czas schodzi na piknikach, towarzystwie z baletniczkami etc.

SZACHY.

ZADANIE V.

Białe zaczynają i dają mata za drugiém posunięciem.

Czarne.

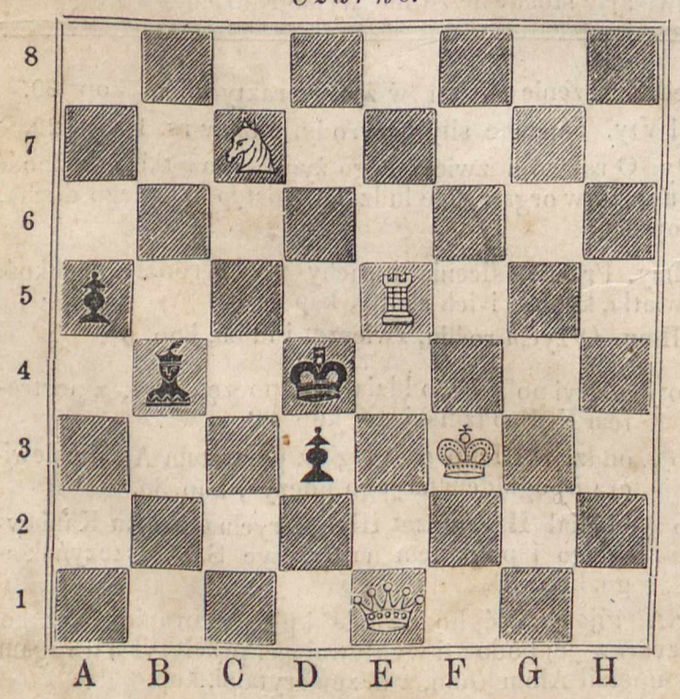

Białe.

Nr. 22. Powróciwszy na wieś, dużo pieniędzy straciwszy i obrachowawszy stan majątkowy, postanawia żenić się w sąsiedztwie z panną niełądną, ale bogatą. *(d. c. n.)*

Rozwiązanie zadania Ner 4.

Białe.	*Czarne.*
1) F 3 — G 5 †	1) H 7 — H 6.
2) G 8 — H 8 †	2) G 7 — H 8 bierze.
3) F 7 — G 8	3) F 5 — D 6.
4) G 8 — H 8 bierze . . .	4) D 6 — F 7 †.
3) G 5 — F 7 bierze † i mat.	

REBUS.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 6.

Małżeństwo musi to być machinka parowa, koniecznie bowiem potrzeba jéj pary.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 31 października (12 listopada) 1859 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*